

Czasy kryzysu

"W dzikości jest ocalenie świata"

Henry David Thoreau

Żyjemy w najbardziej krytycznym momencie trzypółmiliardowej historii życia na Ziemi. Przez tak niewyobrażalnie długi czas życie się rozwijało, rozprzestrzeniało, rozkwitało i różnicowało, wypełniając każdą dostępną niszę swoimi różnymi przejawami, posplatany w złożone, opasujące cały glob nitki wzajemnych powiązań. Dziś jednak ta różnorodność, obejmująca przypuszczalnie 30 milionów gatunków, znalazła się w obliczu radykalnych i bezprecedensowych zmian. Nigdy przedtem - nawet w epoce masowego wymierania dinozaurów pod koniec ery kredowej, 65 milionów lat temu - nie zdarzało się wymieranie w takim tempie, jakiego świadkami dziś jesteśmy, nigdy nie miała miejsca tak drastyczna redukcja różnorodności biologicznej naszej planety.

Od 300 bądź 400 lat ludzka cywilizacja toczy wojnę przeciwko wielkim ssakom, co prowadzi niektórych szanowanych ekologów do przewidywania, że za 20 lat jedynymi wielkimi ssakami, jakie pozostaną przy życiu, będą te, którym ludzie zdecydują się pozwolić żyć. Inni wybitni biologowie, ze zgrozą obserwujący masową dewastację tropikalnych lasów deszczowych i starodrzewów w strefie umiarkowanej, coraz szybciej postępujące pustynnienie, rabunkowe połowy ryb oraz dziesiątkowanie największych ssaków, takich jak wieloryby, słonie i tygrysy (tzw. "charyzmatycznej megafauny") wskutek niszczenia siedlisk i kłusownictwa, twierdzą, że Ziemia może utracić od 1/4 do 1/3 **wszystkich** swoich gatunków w ciągu najbliższych 40 lat.


Ów *blitzkrieg* przeciwko światu przyrody nie tylko niszczy ekosystemy i związane z nimi gatunki, lecz zaczyna także wywierać fundamentalne, systemowe skutki na cały mechanizm podtrzymywania życia na naszej planecie: zaburzymy warunki klimatyczne na całym świecie; zatrujemy oceany; niszczymy atmosferyczną warstwę ozonową, która chroni nas przed nadmiarem promieniowania ultrafioletowego; zmieniamy stężenie dwutlenku węgla w atmosferze i wywołujemy "efekt cieplarniany"; rozpowszechniamy w biosferze kwaśne deszcze, opady radioaktywne, pestycydy oraz skażenia przemysłowe. Nie na darmo profesor Michael Soulé, założyciel Society for Conservation Biology, ostrzegł niedawno, że ewolucja kręgowców być może właśnie dobiega końca wskutek działalności ludzkiej cywilizacji przemysłowej.

Jasno widać, że w czasach takiego kryzysu w batalii o ochronę przyrody chodzi nie tylko o ocalenie możliwości wypoczynku na łonie natury, ani o estetykę, ani o "mądre zagospodarowanie i wykorzystanie" zasobów naturalnych. Jest to bitwa o życie, o dalsze trwanie ewolucji. Obecne pokolenie ludzi znajduje się na najważniejszym rozdrożu odkąd, 6 milionów lat temu, zesliśmy z drzew. Od podejmowanej dzisiaj decyzji zależy, czy Ziemia będzie w dalszym ciągu cudowną oazą życia i różnorodności w pustce Kosmosu, czy też "charyzmatyczna megafauna" przyszłości będzie się składać ze szczurów wędrownych i karaluchów.

Co doprowadziło nas do tego punktu, do tego progu śmiertelnego zagrożenia? Czy stało się tak dlatego, że zapomnieliśmy, gdzie jest nasze "miejsce w przyrodzie", jak twierdzi indiański aktywista Russell Means?

Jeśli jest jedna rzecz, co do której mogą się dziś zgodzić wszystkie państwa świata, jedna sprawa, w

której USA i Związek Radziecki [1], Izrael i Iran, RPA i Angola, Wielka Brytania i Argentyna, Chiny i Indie, Japonia i Malezja zgodnie kiwają głowami, to jest nią przekonanie, że człowiek jest miarą wszelkiej wartości. Jak powiedział Gifford Pinchot, założyciel Służby Leśnej Stanów Zjednoczonych [2], na Ziemi są tylko dwa byty: istoty ludzkie i zasoby naturalne. Humanizm jako filozofia jest siłą napędową całej gospodarki współczesnego świata.

Świat przyrody w oczach większości ludzi jest stołem szwedzkim, który jakaś magiczna kuchnia, ukryta gdzieś  w tle, stale zapełnia od nowa. Większość ludzi wprawdzie dostrzega rażące i moralnie naganne nierówności w wielkości rozdawanych talerzy oraz to, że w wielu przypadkach niektórym osobnikom pozwalamy się obżerać ponad wszelką miarę, lecz mało kto zadaje sobie pytanie, czy rozstawione potrawy są przeznaczone tylko dla nas, niewielu też wyobraża sobie, że stół mógłby kiedyś się opróżnić.

Jest jednak możliwy inny sposób myślenia o relacjach między człowiekiem a światem przyrody. Pionierem tego dogłębnego spojrzenia był XIX-wieczny obrońca przyrody i alpinista, John Muir, a później myśl taką podjęła nauka zwana ekologią. Mówi ona, że wszystkie rzeczy są ze sobą powiązane i wchodzą we wzajemne relacje; że człowiek jest zaledwie jednym z milionów gatunków ukształtowanych przez proces ewolucji przebiegający od 3,5 miliarda lat. W myśl tego poglądu wszystkie żywe istoty mają takie samo prawo tu przebywać. Tak właśnie ja patrzę na świat.

Posiadając takie zrozumienie, możemy odpowiedzieć na pytanie: "Dlaczego dzicz?".

Czy dlatego, że dzikie tereny ładnie wyglądają na widokówkach? Dlatego, że chronią one zlewnie wód, z których potem mogą korzystać rolnictwo, przemysł i ludzkie domostwa? Dlatego, że są dobrym miejscem, gdzie można się przewietrzyć i zrelaksować po całym tygodniu pracy w fabryce samochodów albo przed monitorem komputera? Dlatego, że zachowują surowce dla przyszłych pokoleń ludzi? Dlatego, że jakaś nieznaną rośliną rosnącą gdzieś w dzicy może kryć w sobie lekarstwo na raka?

Nie - odpowiedź brzmi: dlatego, że dzicz **jest**. Dlatego, że jest ona rzeczywistym światem, płynnym nurtem życia, procesem ewolucji, żywym archiwum owych 3,5 miliarda lat wspólnej podróży.

Sapiąca Niedźwiedzica Grizzli, wędrująca z dwoma młodymi wzdłuż potoku Pelican Creek w Parku Narodowym Yellowstone ma dokładnie takie samo prawo do życia, jak człowiek, a przy tym spełnia znacznie donioślejszą rolę ekologiczną. Każdy byt ma swoją własną, przyrodzoną wartość. O tej wartości nie decyduje to, ile wniesie on do kasy produktu narodowego brutto ani to, czy jest on "dobry". On jest dobry, ponieważ istnieje.

Jeszcze ważniejsza niż pojedyncza dzika istota jest wspólnota dzikiego życia - dzika przyroda, strumień życia niezmaczony przez ludzką manipulację.

My, ludzie, członkowie cywilizacji przemysłowej, nie mamy żadnego boskiego pozwolenia, aby pokrywać betonem i asfaltem, podbijać, opanowywać, zagospodarowywać czy wykorzystywać każdy skrawek tej planety. Jak powiedział Edward Abbey, autor książek "Desert Solitaire" i "The Monkey Wrench Gang", mamy prawo tu być, owszem, ale nie wszędzie naraz.

Ocalenie dzikiej przyrody nie jest po prostu kwestią właściwej równowagi między rywalizującymi ze sobą grupami interesu, stworzenia odpowiedniej struktury użytkowania gruntów publicznych i rozwiązania konfliktów między preferowanymi przez różne osoby formami rekreacji. Jest ono kwestią etyczno-moralną. Religijnym nakazem. Ludzie przekroczyli dopuszczalne granice; niszczymy sam proces życia.

Najlepiej chyba wyraził tę etykę strażnik lasu i rzecznik dzikiej przyrody, Aldo Leopold: "*Jakaś rzecz jest w porządku, jeśli sprzyja ona zachowaniu nienaruszalności, stabilności i piękna wspólnoty biotycznej. Jest natomiast nie w porządku, jeśli przejawia tendencję przeciwną*". [3]

Kryzys, z którym mamy obecnie do czynienia, domaga się **pasji**. Gdy pracowałem jako lobbysta ochrony przyrody w Waszyngtonie, kazano mi odłożyć serce do sejfów i zamienić swój mózg w kieszonkowy kalkulator. Kazano mi zachowywać się racjonalnie a nie emocjonalnie, posługiwać się faktami i liczbami, cytować ekonomistów i naukowców. Straciłbym wiarygodność, mówiono mi, gdybym pozwalał sobie na okazywanie emocji. Ale, do diabła, ja przecież jestem zwierzęciem! Żywą istotą z krwi i kości, z burzy i furii. Ziemskie oceany krążą w moich żyłach, wichry nieba napełniają moje płuca, skała macierzysta planety tworzy moje kości. Żyję! Nie jestem maszyną, bezdusznym automatem, kółkiem w mechanizmie przemysłowego świata, jakimś New Age'owym androidem. Gdy piła łańcuchowa wrzyna się w twardziel dwutysiącletniej Sekwoi Wiecznie Zielonej, to wrzyna się ona w moje flaki. Gdy buldożer rozpruwa puszcę amazońską, to rozpruwa on moje ciało. Gdy japoński statek wielorybiczny strzela do wielkiego walenia eksplodującym harpunem, to moje serce rozpada się na drobne kawałki. Ja jestem Ziemią, Ziemia jest mną.

Dlaczego nie mam okazywać emocji, gniewu, pasji? Szaleńcy rujnują tę piękną, błękitno-zieloną, żywą Ziemię. Maniacy, dla których nie ma wartości nic poza banknotem o dużym nominale, burzą filary ewolucji, których budowa trwała blisko cztery tysiące milionów lat.

W tym świecie rządzonym przez osobników z tytułami MBA[4] każe się nam posługiwać tylko ułamkiem umysłu: lewą półkulą mózgu, częścią racjonalną i kalkulującą. Ta część naszego mózgu jest cenna i potrzebna, ale nie jest ona jedynym siedliskiem świadomości. Musimy odzyskać kontakt z emocjonalno-intuicyjną prawą półkulą mózgu, ze zwierzęcą częścią naszej kory mózgowej, z całym ciałem. Potem musimy wyjść i poza to, żeby myśleć całą Ziemią. David Brower, ongiś dyrektor wykonawczy Sierra Club [5], zwrócił uwagę, że nie można zamknąć Kondora Kalifornijskiego w więzieniu ogrodu zoologicznego i nadal mieć kondora. Bycie kondorem nie kończy się na czubkach piór jego czarnych skrzydeł. Kondor to także **miejsce**; to wstępujące prądy powietrzne nad Górami Nadbrzeżnymi, skały, na których składa on jaja, padlina, którą się żywi.

Spółczesność wycięła nam część mózgu. Dzisiejsze otoczenie społeczne może na nas działać jak narkotyk, jak *soma* w Huxleyowskim "Nowym wspaniałym świecie", która nas otumania i pozbawia zdolności do odczuwania pasji, żebyśmy nie wyłamywali się z szeregu. Automaty nie zadają pytań. Wolni ludzie - owszem. Dzikimi zwierzętami nie da się rządzić; można je oswoić, poskromić, tyle że wtedy już nie będą wolne, już nie będą dzikie. Musimy wyrwać się z owego zamrożenia pasji, musimy na nowo stać się zwierzętami. Musimy poczuć przyciąganie księżyca w pełni, usłyszeć nad głowami muzykę dzikich gęsi. Musimy poczuć miłość do Ziemi i wściekłość wobec tych, którzy ją niszczą. Musimy otworzyć się na związki ze sobą nawzajem i z Ziemią; musimy odważyć się kochać i współodczuwać z kimś czy czymś poza sobą samym. A gdy nadejdzie ostatni pocałunek życia - śmierć - nie wolno nam się przed nim chować, lecz raczej wejść radośnie w tę dobrą noc. Gdy umrę, nie chcę być zapeklowany i odłożony w ołowianej skrzynce. Ułóżcie mnie w lesie, pozwólcie mi cieszyć się powrotem do łańcucha pokarmowego, niech zostaną powtórnie wykorzystany - niech stanę się surowcem wtórnym dla łasicy, sępa, robaka i pleśni.

Wyrwanie się z połączonych kajdan cywilizacyjnego banału nie jest łatwe. Łaski stania się częścią dziczy nie sposób dostąpić poprzez książki, poprzez intelektualne dywagacje, poprzez racjonalną argumentację. Nasza pasja rodzi się z więzi z Ziemią i tylko poprzez bezpośredni kontakt z dziką przyrodą możemy zjednoczyć z nią umysł i ciało, uświadamiając sobie, że nie ma żadnego oddzielenia.

Oprócz pasji potrzeba nam **wizji**. Dlaczego mamy zadowalać się światem, jaki serwują nam Louisiana-Pacific, Mitsubishi, Pentagon i Exxon? Dlaczego mają nas ograniczać ciasne alternatywy przedstawiane przez Kongres i Służbę Leśną w dyskusji nad ochroną cennych terenów?

Mówi się nam, że Wilk i Grizzli znikły z większości terenów Zachodu USA i nigdy nie będą mogły powrócić; że na Wschodzie Łoś, Bizon i Puma są tylko cieniami, które nie powrócą; że Glen Canyon i Hetch Hetchy [6] przepadły pod martwą wodą zbiornika i nigdy więcej ich nie ujrzemy; że Preria Wysokich Traw i Wschodni Las Liściasty [7] są tylko wspomnieniami i że już nigdy nie możemy mieć wielkiej dziczy na wschód od Gór Skalistych.

Bzdura! Dlaczego mają nas krępować błędy przeszłości? Możemy rzucić rządowi i społeczeństwu wyzwanie w postaci wizji Wielkiej Dziczy, gdzie ludzie żyją skromnie we wspólnocie, która obejmuje także niedźwiedzie i grzechotniki, i łososie, i dęby, i bylicę, i komary, i glony, i potoki, i skały, i chmury.

Powinniśmy domagać się zamknięcia dróg i rekultywacji zrębów zupełnych; rozebrania zapór i ponownego wprowadzenia Wilków, Grizzli, Kugarów, Wydr, Bizonów, Łosi, Widłorogów, Owiec Kanadyjskich, Karibu i innych wytrzebionych gatunków do właściwych im siedlisk. Musimy ujrzyć oczami wyobraźni i zaproponować odtworzenie milionów akrów obszarów dzikiej przyrody we wszystkich ekosystemach Ameryki, połączonych korytarzami umożliwiającymi wymianę genetyczną. Dzicz jest areną ewolucji i musi być jej tyle, żeby siły przyrody mogły tam swobodnie działać.

John Seed, Australijczyk, który założył Rainforest Information Centre (Centrum Informacji o Lasach Deszczowych), opowiada o swoim spotkaniu w Sydney z grupą Aborygenów. Późnym wieczorem po spotkaniu wszyscy wyszli na powietrze. Przed nimi rozciągało się wielkie miasto. Jeden z Aborygenów zapytał Johna:

- Co widzisz? Co **tam** widzisz?

John popatrzył na pulsujące trasy szybkiego ruchu, na wieże z galwanizowanego szkła i stali, na statki w porcie i odparł:

- Widzę miasto. Światła, ulice, drapacze chmur...


Na to Aborygen powiedział cicho:

- A my wciąż widzimy ziemię. Wiemy, gdzie pod tym betonem rośnie las, gdzie pasą się kangury. Widzimy, gdzie Dziobak wygrzebuje sobie jamę, widzimy którądy płyną strumienie. To miasto tam... to tylko strup. Pod nim pozostaje żywa ziemia.

Tak właśnie jest w Ameryce Północnej. W karłowatych lasach Nowej Anglii wciąż unoszą się duchy siedemdziesięciometrowych Sosen Wejmutek. Wśród upraw pastewnych i pól kukurydzianych na Wielkich Równinach wciąż rozbrzmiewa tętent Bizonów-widm i wycie Wilków sprzed stu lat. Na wybrzeżach San Francisco zjawy Grizzli posilają się wyrzuconymi na brzeg zwłokami wielorybów.

Masakra mieszkańców dziczy dokonywana na całym świecie przez cywilizowanych ludzi trwa dopiero krótką chwilę w ewolucyjnej skali czasowej. Niektóre gatunki przepadły już na zawsze, niektóre ekosystemy są już beznadziejnie zdemolowane, ale w większości wypadków ziemia, dzika ziemia, wciąż żyje pod betonowym strupem.

Czy umiemy to dostrzec?

Pasja i wizja są niezbędne, ale puste jeśli nie towarzyszy im **działanie**. Łatwo jest poczuć się przytłoczonym  samym ogromem problemów, w obliczu których znajduje się Ziemia, zadaniami na miarę Herkulesa, podczas gdy jesteśmy tylko słabymi śmiertelnikami. Czujemy, że nie mamy sił domagać się zmian, gdy wiemy, że nasza własna egzystencja nie jest niewinna, że uczestniczymy w stylu życia, który pustoszy planetę. Czujemy się bezsilni w konfrontacji z bezmiarem nieruchawej,

szarej biurokracji władz i przemysłu.

"Tego jest zbyt wiele!" - skamlemy i dajemy za wygraną. - "Lepiej nie walczyć niż zostać pokonanym. Poza tym, od czego może zacząć zwykły człowiek, taki jak ja? Nie jestem ekspertem ani przywódcą. Dlaczego to oni czegoś nie zrobią?".

Jesteśmy jak sparaliżowani, ponieważ problemy są dla nas zbyt duże. Łatwiej jest włączyć telewizor, rzucić się w wir współczesnej gry ("kto umrze mając najwięcej zabawek, ten wygrywa!") i topić własne oczekiwania i pasję w kieliszku albo działce białego proszku.

Ziemia płacze. Czy słyszymy? Martin Luther King powiedział kiedyś, że jeśli ktoś nie ma niczego, za co warto byłoby umrzeć, to nie ma także niczego, dla czego warto żyć. Te czasy wymagają odwagi.

Odwaga ma wiele postaci. Trzeba odwagi, żeby nie pozwolić swoim dzieciom uzależnić się od telewizji. Trzeba odwagi, żeby powiedzieć grupie ekologicznej, do której się należy: "Dość kompromisów!". Trzeba odwagi, żeby powiedzieć swojej gminie: "Dość wzrostu gospodarczego!". Trzeba odwagi, żeby powiedzieć, że dzikie życie jest ważniejsze niż miejsca pracy. Trzeba odwagi, żeby pisać listy do miejscowej gazety. Trzeba odwagi, żeby wystąpić publicznie i przemówić. Trzeba odwagi, żeby żyć w sposób, który mniej daje się we znaki środowisku. I trzeba odwagi, żeby położyć własne ciało między maszyną a dziczą; żeby zagrozić drogę pile łańcuchowej albo spychaczowi.

W 1848 roku Henry David Thoreau poszedł do więzienia za odmowę zapłacenia podatku pogłównego w proteście przeciwko wojnie z Meksykiem. Gdy Ralph Waldo Emerson przyszedł, by wpłacić za niego kaucję, zapytał:

- Henry, co ty tu robisz?

Thoreau odparł spokojnie:

- Ralph, co ty tu robisz?

W tym pomyłonym świecie, gdzie krótkowzroczna chciwość przeważa nad kondycją życia w długiej perspektywie, ci z nas, którzy mają jakąś etykę stosunku do Ziemi, wizję i pasję, muszą stawić czoła oszalałej maszynie. Musimy stawać jej na drodze jak 19-letnia aktywistka *Earth First!* z Oregonu, Valerie Wade, kiedy wspięła się na wysokość 25 metrów, by ochronić przed ścięciem wiekową Daglezję; jak organizator wycieczek w dzicz, a zarazem jeden z założycieli *Earth First!* Howie Wolke, kiedy wyciągał paliki wytyczające przebieg planowanej drogi, która miała być zbudowana na potrzeby górnictwa gazowego i przecinać pierwotne siedlisko Łosia. Oboje narażali własne życie, oboje trafili do więzienia. Oboje byli dumni z tego, co zrobili. Oboje są bohaterami Ziemi, podobnie jak setki innych, którzy wykazują się odwagą w obronie dziczy.

Ta obrona nie jest obroną arogancką, obroną powzięta przez Pana Człowieka usiłującego ochronić coś **mniejszego** niż on sam. Przeciwnie, jest to pokorne łączenie się z Ziemią, stawanie się lasem deszczowym, pustynią, górą, dziką przyrodą, które stają w obronie siebie samych. To właśnie stając się częścią tego, co dzikie znajdujemy odwagę daleko przewyższającą nas samych. Ta jedność daje nam śmiałość, by wystąpić przeciwko wrogiemu przyrodzie humanizmowi, przeciwko maszynie, przeciwko dolarowi, przeciwko więzieniu, przeciwko wymieraniu - w imię tego, co święte i słuszne: w imię Wielkiego Tańca Życia.

Osiemdziesiąt lat temu Aldo Leopold ukończył Akademię Leśnictwa Yale i podjął pracę w nowo utworzonej Służbie Leśnej na terenach stanów Arizona i Nowy Meksyk. Skierowano go do inwentaryzowania potencjalnych zasobów drewna w wysokich, dzikich Górach Białych we wschodniej Arizonie, które były wówczas jednym wielkim bezdrożem. Pewnego dnia Leopold wraz ze

swoją brygadą zrobił przerwę na lunch na skale sterczącej nad spienionym potokiem. W trakcie posiłku ujrzeli wielkie zwierzę, przepływające się w bród przez potok. Z początku wydawało im się, że to łania, ale gdy spomiędzy wierzb wysypała się grupka małych, które wybiegły na powitanie matki, zdali sobie sprawę, że była to wilczyca. W owych czasach strzelało się do każdego wilka, którego się zobaczyło. Leopold i jego ludzie rzucili się do strzelb, które mieli przypięte do końskich siodła i zaczęli strzelać. Wilczyca padła na ziemię, jedno ze szczeniąt powlokło się z rozszarpaną łapą w stronę skał, a Leopold zjechał na dół, by dokończyć dzieła. Później napisał:

Dotarliśmy do starej wilczycy w samą porę, by dostrzec żarliwy zielony płomień dogorywający w jej oczach. Wtedy uświadomiłem sobie coś, co zapamiętałem na zawsze: w jej oczach było to, czego wcześniej nie znałem - coś, co znała tylko ona i góra. Byłem wtedy młody i ręka świerbiła mnie do pociągania za spust; myślałem sobie tak: więcej wilków to mniej jeleni, a więc zero wilków to raj dla myśliwych. Ale kiedy zobaczyłem ów zamierający zielony płomień, poczułem, że ani wilczyca, ani góra nie podzielają tego poglądu. Zielony płomień. Potrzeba nam go w oczach Wilka. Potrzeba nam go w przyrodzie. I potrzeba nam go w naszych własnych oczach.

Dave Foreman

tłum. Jerzy Paweł Listwan

Powyższy tekst jest fragmentem książki Dave'a Foremana "Wyznania wojownika Ziemi", której polskie wydanie ukaże się w najbliższych miesiącach nakładem Stowarzyszenia "Obywatel". Autor książki jest jedną z najważniejszych postaci amerykańskiego ruchu ekologicznego, współzałożycielem słynnej radykalnej organizacji *Earth First!*, a następnie twórcą inicjatywy *Wild Earth* (Dzika Ziemia), zajmującej się ochroną ocalałych obszarów dzikiej przyrody.

Przypisy:

[1] Książka została wydana w 1991 r. (przyp. tłumacza).

[2] U.S. Forest Service, odpowiednik naszych Lasów Państwowych (przyp. tłumacza).

[3] Wszystkie cytaty z Aldo Leopolda przywołane w tej książce pochodzą z jego klasycznego dzieła "A Sand County Almanac" (Oxford University Press, Nowy Jork 1949), powszechnie uważanego za najważniejszą książkę XX w. z dziedziny ochrony przyrody. Leopold jest prawdopodobnie najbardziej wpływowym myślicielem tej dziedziny, jakiego wydały USA. Szczegółową biografię można znaleźć w: Curt Meine, Aldo Leopold: His Life and Work (University of Wisconsin Press, Madison 1988).

[4] Master of Business Administration - magister zarządzania (przyp. tłumacza).

[5] Sierra Club - jedna z najstarszych amerykańskich organizacji przyrodniczych, a najstarsza spośród grup tworzących nowoczesny ruch ekologiczny, dziś liczy kilkaset tysięcy członków (przyp. red.).

[6] Hetch Hetchy - piękna dolina w Parku Narodowym Yosemite (Kalifornia), zamieniona w sztuczny zbiornik wodny (przyp. tłumacza).

[7] W całej tej książce piszę dużymi literami nazwy własne gatunków. Dlatego "Niedźwiedź Grizzly" czy "Sosna Żółta", jako odrębne gatunki, są pisane dużą literą, natomiast "niedźwiedź" czy "sosna", jako terminy ogólne, małą. Podobnie, dużą literą piszę formalną nazwę konkretnego ekosystemu, np. "Preria Wysokich Traw", ale nie termin ogólny, taki jak "preria". Dużą literą piszę "Obszary Dziewicze", gdy odnosi się do Obszarów Dziewiczych formalnie ustanowionych uchwałą Kongresu; zostawiam małe litery "obszary dziewicze" [lub "dzicz" w przekładzie polskim - przyp. tłumacza], gdy chodzi o obszary dziewicze de facto lub o te, które nie mają takiego formalnego statusu. "Park Narodowy", "Narodowa Ostoja Dzikiej Zwierzyny" i "Las Narodowy" piszę zawsze z dużej litery, bez względu na to, czy chodzi o konkretną jednostkę (np. Park Narodowy Wielkiego Kanionu), czy po prostu o ogólny obszar lub pojęcie. Pisanie nazwy dużą literą jest wyrazem szacunku, a wszystkie gatunki, ekosystemy i systemy ochrony zasługują na ten szacunek. Nie trzeba zatem dodawać, że dużą literą piszę także "Ziemia".